NOWINY TYGODNIA

SOBOTA
2. III. 1957 r.
Nr 8 (352)

DODATEK SPOŁECZNO KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

STALOWA WOLA — MIASTO MŁODYCH STARCÓW?

Kultura, miłość i taaakie czasy...

Traf chciał, że pierwszym mieszkańcem Stalowej Woli, którego spotkałem, był młodzieniec o uroczym imieniu — Erazm.

Erazm Bucholt — człowiek

o niesłychanie bujnej inwencji, pełen niezwykłej energii i entuzjazmu — jest przy tym wszystkim jeszcze i niepoprawnym optymistą.

Erazm zaraża — optymizmem, młodzieńczą fantazją i... uporem. A w Stalowej Woli — wierzcie mi — trzeba mieć stalową wolę, jeśli się ma ambicję ożywić kulturalne i intelektualne zainteresowania mieszkańców. To doprawdy niełatwe zadanie.

Erazm mieszka w pokoju gościnnym Domu Kultury Huty. Dwie „amerykanki", stolik, dwa krzesełka oraz doskonały „artystyczny bałaganik" znakomicie „pasują" do charakteru gospodarza. Tu „rodzą się" niezliczone pomysły Erazma — działacza kulturalnego. Opowiada o nich „sam":

„HACZYKI I RYBKA"

„Moim zdaniem — najbardziej palącym problemem Stalowej Woli jest znalezienie jakiegoś skutecznego leku — przeciwko atmosferze tymczasowości, w jakiej żyje ogromna większość naszej inteligencji technicznej. Są to młodzi ludzie — przybyli z „nakazu pracy". Jakoś nie chcą się tu zadomowić. Nic ich nie interesuje. Wpadli w marazm, nudę i zobojętnienie. Zamknęli się w czterech ścianach.

Próbowaliśmy na przykład utworzyć Klub Inteligencji. Zapowiadało się nawet nienajgorzej. Przyjechał przedstawiciel „Po Prostu". Wydrukowaliśmy śliczne zaproszenia na wieczór inauguracyjny, połączony z zabawą taneczną. Ludzie przyszli. Bawiliśmy się świetnie. I na tym się skończyło. Na dalsze wieczory, na których chcieliśmy zapoczątkować dyskusje, uruchomić sekcje zainteresowań, słowem — zapoczątkować systematyczną działalność — przyszło kilka osób... z naszego zespołu amatorskiego. Technika — nawaliła...

Chwyciliśmy się jeszcze jednego sposobu „rozkręcenia" naszej młodzieży. Urządziliśmy bal kostiumowo - maskowy. Udał się wspaniale. Okazało się, że nasi ludzie mają fantazję. Kostiumy i maski — były bardzo pomysłowe, oryginalne i wykonane „we własnym zakresie" przez uczestników balu. I znów — przynęta dobra, lecz ryba nie połknęła haczyka. Zostaliśmy ponownie w tym samym gronie miłośników amatorskich zespołów.

Nie kapitulujemy jednak. Mamy w zanadrzu nowy haczyk. Urządzamy imprezę estradową pod tytułem „Bawimy się na sportowo". Piosenki, skecze, konkursy — wszystko o tematyce sportowej — może przyciągną ludzi. Nasza publiczność lubi wszystko co wesołe. Poważniejszych imprez nie uznają. Nie ma się czemu dziwić. Kto miał wychować publiczność, kto miał wyrobić smak artystyczny? Ale powoli i temu poradzimy. Są już oznaki postępu. „Zaczarowane koło" Lucjana Rydla, wystawione przez nasz zespół miało już cztery komplety. A to wiele znaczy...

REPERTUAR JEST ALE...

Przy okazji wtrącę kilka słów na temat Domu Kultury. Stalowa Wola ma doskonałe warunki do rozwoju działalności kulturalnej. Olbrzymi Dom Kultury, doskonale wyposażony, dysponujący kadrą dobrych, ofiarnych i pracowitych ludzi.

Np. kierownik artystyczny Józef Żmuda. Były aktor zawodowy, zapalony reżyser, wielki wielbiciel amatorskiej twórczości. Amatorzy ze Stalowej Woli zasługują na szczere słowa uznania. Praca nad „Zaczarowanym kołem", to rzecz niełatwa nawet dla bardzo dobrego zespołu zawodowego, a cóż dopiero dla amatorów.

Ale „zapał tworzy cuda". Amatorzy, którzy połknęli „bakcyla teatru", oddali cały swój wolny czas na próby. Wystarczy powiedzieć, że niemal codzienne próby trwały od 16 do 2 w nocy. Urzekło ich nie tylko piękno uroczej baśni ludowej Rydla, lecz porwało rozbudzone zamiłowanie do sztuki, chęć artystycznego wyżycia się.

Obok uzdolnionych „starych amatorów", mających poza sobą niejeden spektakl, jak np. znakomity Marian Berężko (z zawodu elektryk), czy dysponujący kapitalnymi warunkami aktorskimi Kazio Szarama, lub Stanisław Chruściel (księgowy), w „Zaczarowanym kole" zadebiutowały młode siły. Hanna Fiutkowska, matka trójki milutkich dzieciaków i kierowniczka Hotelu nr 4 — Helena Baranowska, solidnie się napracowały nad odpowiedzialnymi rolami — Basi — wojewodzianki i Maryny. Ale za to ileż satysfakcji!

Na zakończenie plusów DK w Stalowej Woli, jeszcze kilka słów o repertuarze. Zespół dramatyczny przewiduje wystawić sztuki — „Ojciec debiutantki" A. Bondy, „Pociąg widmo" R. Ridley'a, „Szczenia ki" i „Niespodzianka" Roztworowskiego. Poza tym zespół dramatyczny plus zespół pieśni i tańca planują wystawienie klasycznej opery ukraińskiej „Zaporożec" i w grudniu „Betlejem polskie" Rydla.

Zespół taneczny pracuje nad „Suitą lubelską", zespół muzyczny nad „Wieczorem muzyki lekkiej" w układzie Bieniasa, Teatr Lalek przygotowuje „Awanturę w Pacyn-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Powiat Kolbuszowa

Wściekłe stare dziki tam ryją ziemniaczyska
I dziadek przy krowie z pcheł i weszek się iska,
Lato tam czy zima — kogut po borze pieje,
Dziecko dzbanek jagód milę dźwiga do miasta,
W stodółce pod słomą kura jajko w dzień niesie
Na sól i zapałki dla pogorzelca w lesie.
Do śmierci stąd bliżej, niżeli do kolei:
Cmentarz tylko na górze i tarnina kolczasta.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Wierzę

Wierzę. Tym, którzy strzelają do siebie.
I w zdradę wierzę: brata, przyjaciela.
Śpiewa kto ginie „Ave maris stella".
A ten kto żyje, krew spożywa w chlebie.
Po śmierci nie wiem, co mnie czeka.
Ale na zawsze dobra moja wola —
Sto razy bić się i padać u pola.
Tam wojna moja gdzie klęska człowieka.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

W numerze:

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA — Cogito ergo sum? ● JERZY PLEŚNIAROWICZ — Z dziejów teatru w Rzeszowie ● ŚWIERSZCZ — Karnawał w krzywym zwierciadle ● Wiosna, jesień i miłość (recenzja) ● DYSKUSJE — POLEMIKI ● HUMOR ● NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

LUDZIE I SPRAWKI

Historia niesamowita

Teodor nie jest głupcem, a jednak nie potrafi utrzymać swych nerwów na wodzy. Czasem ponosi go szewska pasja, jak to sam chętnie powtarza do znudzenia. Ma to być aluzja do jego „gminnego" pochodzenia. Myli się jednak Teodor. Ludzie nie pochwalają tej chełpliwej i prostackiej ironii.

Popędliwy Teodor oprócz wielu zalet, wyróżnia się stoickim spokojem z jakim znosi prowincjonalną nudę. Ba! Czasem gdy się spotkamy, beznadziejny, niemrawy dzień zimowy małego miasta nabiera uroku. Jak się to dzieje, tajemnicę zna tylko Teodor.

— „Każdy na swoją rękę chce głupcem zostać" — mówi— śmiejąc się. Czy cię nie bawi ten ustalony porządek? Na ulicy Dekerta spotkam drobną staruszkę o twarzy pomarszczonej jak jabłko, spieszy po mleko na plac. Na placu obok Ratusza witają mnie roześmiane oczy...

Dziewczyna jest smukła. Twarz madonny. Włosy spięte w koński ogon mają odcień dojrzałych kasztanów. Radosne jest wtedy uczucie... Zresztą nie mówmy o tym.

Dziewczyna się podobno puszcza.

Jeśli na Grunwaldzkiej spotkam zgarbionego mężczyznę w cyklistówce, o twarzy smutnej i łagodnej, wtedy rzucam okiem na zegarek. Muszę przyspieszyć kroku, bo spóźnię się do pracy...

Taki jest Teodor! — Teodor aktywista, gorący zwolennik demokratyzacji.

Niektórzy towarzysze mówią o nim, że ulega drobnomieszczańskiej ideologii. Może dlatego, że przestał być optymistą i czyta Rudnickiego oraz Hłaskę. A Teodora nie znoszącego nudy coraz częściej ponosi szewska pasja.

Nie sądźcie go jednak surowo. Winny jest Aryman. Nie warto poświęcać mu zbyt wiele czasu, ale wiedzcie, że Aryman od 12 lat zajmuje wysokie stanowisko. Nie chodzi do kin i teatru, nie odwiedza wystaw plastycznych. Nie ma czasu. Nie przesiaduje w kawiarniach, bo brzydzi się drobnomieszczańskim stylem życia. Nie tańczy (Rock and Rollu — też) z zasady jako człowiek na stanowisku. Ten mocny ideologicznie i bojowy towarzysz tylko w jednym wypadku wykazuje słabość dziecka.

Aryman jest nałogowcem — upija się władzą. Podsumowywać, wydawać decyzje, dyrektywy, czy bez tego może przeżyć choć jeden dzień! Duchowy spokój Arymana zakłóciły jednak pewne wypadki — polski Październik.

— Rozwydrzone warchoły, demagodzy, podżegacze paplają co im ślina na język przyniesie, stawiają głupie pytania, na które Aryman nie umie odpowiedzieć. Jest zatrwożony. Do czego to wszystko prowadzi?

„...Nie tępimy burżuazyjnych elementów, które coraz częściej podnoszą głowę, domagając się odbudowy kapitalizmu. — Nie będę gołosłowny — stwierdza Aryman. W Wólce Dolnej rozbito witrynę w kinie wiejskim. W lokalu IV kategorii „Oaza życia" wichrzycielskie elementy śpiewały „Wojenko, wojenko".

— Oto do czego prowadzą swobody demokratyczne! Tego Aryman nie mówi głośno. On tak sobie myśli.

Teodor upiera się jednak, że głowa Arymana jest jedną komórką prawie o idealnej pustce, gdyby nie pewne ilości wody sodowej. A jego zgraną melodię nazywa piskiem — jednokomórkowca.

Na jednym z zebrań poszerzonego aktywu Teodor postanowił rozprawić się z tym „piskiem" i przeszedł sam siebie. Mówił jakby miał lód na głowie a ogień w sercu.

Sala jednak milczała. A on patrzył ze zdumieniem po obecnych, przecierając oczy. Tych co siedzieli na wysokich stołkach była przytłaczająca większość, inni znowu nie mieli twarzy. U wielu w miejscu gdzie homo sapiens (człowiek rozumny) ma głowę zjała pustką jedna komórka. Tylko wąski strumyk wody sodowej sączył się z pustych głów, spływał po wysokich stołkach rozlewając się po sali. Jeden z obecnych wstał z wysokiego stołka i powiedział:

— Ty Teodorze się dołgrasz. Ulegasz drobnomieszczańskiej ideologii i na pewno zostaniesz rewizjonistą.

Wtedy Teodora chwyciła szewska pasja. Zaklął brzydko i wykrzyknął:

— Znosicie siebie samych. Co za wytrzymałość!

ORMUZD

STALOWA WOLA — MIASTO MŁODYCH STARCÓW?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kowie", a zespół estradowy wspomnianą już imprezę „Bawimy się na sportowo".

Repertuar bogaty i nader atrakcyjny. Ale... właśnie jest i tu owo ale. Otóż zastanawiającą sprawą jest fakt, że grupka amatorów, skupionych w zespołach DK niemal wcale się nie powiększa. Plusem tego zjawiska jest wzrastający poziom artystyczny wykonawców, minusem — maluczka ilość zdobytych dla sztuki ludzi.

Dlaczego tak się dzieje?

KOLEJOWE ZAPASY

W pewnym stopniu odpowiedź mieści się już w stwierdzeniu, że czynni amatorzy, to z wyjątkiem Erazma, ludzie mający mieszkania i to dobre. Natomiast większość młodzieży pracującej w Stalowej Woli, to bądź mieszkańcy hotelów, bądź też dojeżdżający z okolic. O tym, że takiemu dojeżdżającemu w horendalnych po prostu warunkach „nie w głowie" działalność kulturalna, nie trzeba nikogo przekonywać. To co się dzieje codziennie na trasie Rozwadów — Przeworsk, to jeden wielki skandal. Tramwaje warszawskie ze swymi „winogronami" to fraszka. Ludzie wiszą, stoją na jednej nodze, rozbijają sobie nosy.

Żadna „siła" nie jest w stanie nadążyć z wstawianiem wybitych szyb, co oczywiście nie uprzyjemnia przejazdu. Młody człowiek, który przechodzi codziennie dwukrotną „zaprawę" przy zdobywaniu miejsca w pociągu, ma naprawdę dość.

Sprawa zwiększenia ilości pociągów na tej trasie wałkowana od lat wciąż, nie znajduje rozwiązania. A jest to przecież problem bardzo ważny. Chodzi o zdrowie tysięcy ludzi. Czy naprawdę nie ma możliwości rozwiązania tego arcyniemiłego problemu?

Jako odpowiedź na pytanie, co robi młodzież pracująca w Stalowej Woli po powrocie do rodzinnych miejscowości, niech posłuży taki oto „obrazeczek" z Rudnika:

— Gospoda GS. Na podłodze śmieci po kostki. Stoliki tak brudne, że na samo wspomnienie człowiekowi robi się słabo. Bufet tak samo. Zresztą bufet podobnie jak i „kuchnia" prawie zawsze są puste. Natomiast wóda leje się strumieniami. Młodzi ludzie wytrzymują w tym okropnym zaduchu, brudzie i ohydnym niechlujstwie nieraz całe godziny. I piją. Cóż mają innego robić?

Taki Rudnik jest przecież dużą, w porównaniu z innymi, miejscowością, a jednak nie ma tu nic, absolutnie nic poza ową „straszną" spelunką...

„NA MEKSYK" DO „BABIŃCA"

A co dzieje się z młodzieżą mieszkającą w hotelach? Mam nadzieję, że młodzi ze Stalowej Woli wybaczą mi, że posłużę się ich własną terminologią. Młodzi chłopcy z hotelów męskich wybierają się często, jak powiadają, „na Meksyk" do „babińca". Określenie to dotyczy hotelu żeńskiego, w którym od czasu do czasu dziewczęta urządzają „potańcówki" czyli właśnie ów „Meksyk". Powiedzmy sobie od razu — żadnego „Meksyku" tam nie ma. Ot po prostu zbierają się chłopcy i dziewczęta i tańczą przy dźwiękach własnej orkiestry. Kilku (przeważnie czterech) chłopców przychodzi z własnymi instrumentami i grają najnowsze przeboje mniej lub więcej poprawnie, ale zawsze z dużym temperamentem i głośno.

Bufetu nie ma. Młodzież bawi się na czczo, chociaż nie zawsze na trzeźwo. Ostatnio wśród mieszkanek hotelu gruchnęła wieść, że **MO zabroniła urządzania potańcówek. Przyczyna tej decyzji ma być rzekomo fakt, że młodzież tańczy... Rock and Roll. Zaiste „oskarżenie" poważne.**

W mieście krążą niesamowite wersje o straszliwych orgiach, które podobno organizowane są w hotelu żeńskim. Gruba przesada. Odwiedziliśmy ów hotel, ze znawcą tutejszych obyczajów niezastąpionym Erazmem. Był późny niedzielny wieczór.

Stajemy przed pierwszymi z brzegu drzwiami. Przez chwilę słuchamy muzyki dochodzącej zza drzwi. Pukamy. Po dłuższej chwili w półotwartych drzwiach ukazuje się nieco speszona dziewczyna z rozwichrzoną czupryną. Mowy nie ma o wpuszczeniu nas za próg. Zaglądamy niedyskretnie przez ramię dziewczyny. Drobiazg odzieżowy, dostrzeżony na krześle, skłania nas do przeproszenia mieszkanki pokoju i szybkiego wycofania się na „z góry upatrzone pozycje".

W następnych pokojach historia mniej więcej się powtarza. No cóż, ma się pecha. Ale oto trafiamy do pokoju przewodniczącej samorządu hotelowego. Wreszcie mamy okazję do obejrzenia „warunków mieszkaniowych" i porozmawiania.

ROCK AND ROLL — WZBRONIONY?

Przewodnicząca mówi chętnie i bez osłonek o życiu hotelowym. Z tymi „orgiami" to bujda. Czasem dziewczynę odwiedzi znajomy. To wszystko! Przewodnicząca jest oburzona wieścią o zabronieniu „potańcówek". Słyszała o tym zakazie od kierowniczki hotelu. Jak to? — powiada — żadnych awantur nigdy nie było, a jeżeli chodzi o ten Rock and Roll — to nawet w kronice filmowej reklamowali...

Warunki hotelowe nie są najlepsze. Przede wszystkim chroniczny brak wody. Prawdziwe utrapienie skoro się zważy, że dziewczęta urządzają „pranie" i zmuszone są często do dźwigania wody na trzecie piętro. No i opłaty. Administracja Huty, sobie tylko wiadomym sposobem, skalkulowała, że za każde miejsce należy płacić 100 zł miesięcznie. Dziewczęta mieszkają w trzy i dwuosobowych pokojach. Chłopcy w pięcio i czteroosobowych.

Mało tego — ta sama administracja utrzymuje, że do każdego (płacącego 100 zł) mieszkańca hotelu „dopłaca" 62 zł miesięcznie. Czy aby nie przesada, proszę szanownej administracji? Robimy na gorąco budżet przeciętnej mieszkanki hotelu.

Zarobek przeciętny — 600 zł — obiady w „Hutniku" — 180 złotych, hotel — 100 złotych, śniadania i kolacje (minimum 300 zł) i co zostaje? Czy można się wobec takiego stanu rzeczy dziwić, że jedyną, bo bezpłatną rozrywką dziewcząt są owe „potańcówki"?

„KAWIARNIA" POD MAGLEM

Są jednak w Stalowej Woli młodzi ludzie, zarabiający grubo, grubo więcej. Stanowią oni trzon bywalców popularnej „kawiarni", czyli jedynego lokalu, w którym odbywają się „dancingi". Lokal jako lokal — wspaniały. Jednak SZG zrobiły wszystko, by lokal ten stał się zwykłą spelunką. Tłok niesamowity. Bufet — wąskie gardło tak wielkiego zakładu, staje się areną walk staczanych między kelnerami. Przygrywająca do tańca orkiestra rzepoli tępo, fałszywie i od lat to samo.

Wszelkie prośby, błagania i groźby, aby otworzyć w Stalowej Woli choć jedną prawdziwą kawiarnię trafiają w próżnię. SZG woli knajpy z wódą. Dochód większy. A co szanownych panów z SZG obchodzą ludzie, którzy chcieli by mieć jakieś przytulne miejsce do towarzyskich spotkań i nie cierpią ani alkoholowych oparów, ani wrzasku pijanej czeredy?

Można by urządzić bardzo przyjemną kawiarnię w gmachu Domu Kultury, ale cóż, nie znalazł się taki śmiałek, który odważyłby się przebrnąć przez gąszcz przepisów, zarządzeń itp. trudności.

Nie można pominąć — pisząc o problemach kulturalnych Stalowej Woli najpopularniejszej muzy — filmu. Jedno małe kino to stanowczo za mało. Kolejka po bilety ustawia się tu już rano. Zaiste duży musi być entuzjazm do filmu, skoro miłośnicy X muzy stercza w kolejce przez wiele, wiele godzin, narażając się na szturchańce i niezbyt wytworne epitety ze strony chętnie tu grasujących „koników" i chuliganów.

Dlaczego w Domu Kultury nie urządzono dotychczas kina związkowego? Mimo dużej żywotności zespołów, znalazłyby się jednak wolne godziny na seanse filmowe. Ta największa w województwie sala widowiskowa, rozwiązałaby problem filmowy Stalowej Woli — nie mówiąc już o wysokiej opłacalności takiego przedsięwzięcia.

CIERPLIWOŚCI I STALOWEJ WOLI...

Problemy kulturalne Stalowej Woli — miasta mającego przed sobą wspaniałą przyszłość nie są łatwe. Garstka zapaleńców z Domu Kultury musi otrzymać wydatną pomoc przede wszystkim ze strony kierownictwa Huty oraz władz miejskich. Dużo jeszcze czasu upłynie zanim uda się rozwinąć zainteresowania kulturalne inteligencji technicznej, a jeszcze więcej zanim zdobędzie się dla sztuki młodzież robotniczą.

Wydaje się jednak, że atak zacząć trzeba od pozyskania inteligencji technicznej, która pociągnie za sobą młodzież robotniczą. Zbieramy obecnie smutne owoce zaniedbań kulturalnych powstałych wskutek przesadnej specjalizacji na wyższych uczelniach. Przyszły inżynier koncentrował całą swą uwagę na kierunku studiów, nie mając zbyt wiele okazji do rozbudzenia w sobie innych zainteresowań. Niełatwe warunki materialne też nie sprzyjały intelektualnemu rozwojowi młodzieży. No i ta atmosfera tymczasowości — główny wróg młodzieży pracującej w Hucie.

W walce z tym groźnym wrogiem trzeba nie tylko stalowej woli, ale także konkretnej działalności gospodarczej, i konkretnej pomocy materialnej dla zapaleńców pragnących „ruszyć z posad bryłę świata". Jest ich w Stalowej Woli niewielu, ale będzie ich z każdym dniem więcej...

Z. JAGIELSKI

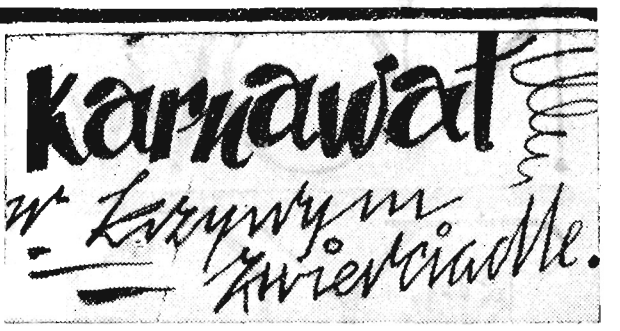

KARNAWAŁ,

— Koniunktura dla muzyków i muzycznych szarlatanów

— Jedyna okazja w roku dla czterdziestolatki, by obnażyć resztki piękności

— Szalone tygodnie, za które będziesz spłacał długi przez ponure miesiące

— Okres poszukiwań strusich piór i wachlarzy w zatęchłych, babczynych kufrach. (Nie martw się, że będą pogryzione przez mole. Mdłe światło, a czasem i brak jego, nie pozwoli dojrzeć...)

— Bale gałganiarzy w tiulowych mgłach i przyciężkich aksamitach

— Kolorowa kamizelka i dyskretna łatka na kolanie

— Cacao choix i czysta zwykła (kochani, ta druga lepiej robi na żołądek)

— Bale. Zabawy. Tańcówki. Wieczorki.

— Klipsy. Ondulacje. Niewygodne czółenka za 304 złote

— Gonitwy ciuchowe za kiecką bez ramion, na fiszbinach

To wszystko jest karnawał. Czy aby naprawdę? — Nie wierzysz? Niech mówią więc wspominki. Wyobraźnio, przemieszaj się z życiem i wnijdź na scenę teatrzyku — roku 1957.

KARNAWAŁ 1949. Gimnazjum.

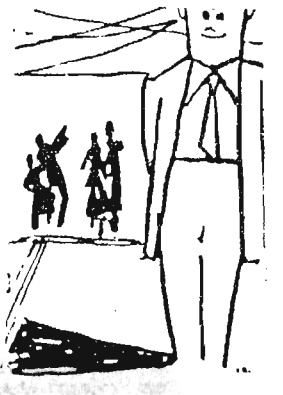

— Mama, daj setkę na wstęp.

— Widzisz ją, zabaw jej się zachciewa. W twoim wieku, to siedziałam w domu i gary zmywałam. O, co za czasy, żeby smarkule rządziły. Cholerny świat. A później to mi może bachora przyniesiesz do domu, co? Czekaj, jak powiem ojcu, a przyłoży ci ze dwa pasy...

Westchnienie. Pożyczona sukienka. But za duży dwa numery. Twarz odświętna z roztartą palcem szminką. Żeby nie widziała „Kobyła" — ta od polskiego. Pudru nie trzeba.

A później sala gimnastyczna, grono ciot - profesorek pod ścianami, tęskne spojrzenia Julka Słowackiego z portretu, skrzypek, pianista i bal.

Swing. Prawa noga wykonuje niezmordowanie swój ruch. Pierwszy to raz taniec z mężczyzną.

To nie ważne, że po balu ojciec laską zagania do domu, a matka histeryzuje. Co oni tam wiedzą...

KARNAWAŁ 1950. Kategorycznie odmówiono w domu.

Zamazane śniegiem szyby odbijają twarz Jurka. Odchodzi.

Stary gruchot, radio z awansu społeczno-finansowego, nadaje reportaż z balu:

— „Proszę państwa, w tej chwili właśnie wszedł

COGITO, ERGO SUM?

Noc ślizgała się po dachach. Nuda osnuwała serce. Marię obejmowały ramiona Piotra. Myśl napisania o Miasteczku chwyciła mnie jak w kleszcze. Piszę. Noc ślizgała się po dachach. Nuda osnuwała serca. Stop. Tylko do kropki to samo. Piotr i Maria mogą odejść. Realia pozostaną — krzyczmyż: zwycięstwo realiom.

* * *

Kot przeciągnął się leniwie. Może to świt go zbudził. Polizał rękę, zwisającą z łóżka. Pan Paweł stęknął.

— Pójdziesz cholero, kocmołuchu.

Głowa opadła na poduszkę. Za chwilę ręka wysunęła się w poszukiwaniu garnka z kwaśnym mlekiem. Najlepsze po przepiciu.

Rozcierając pulsujące skronie, pan Paweł dochodził powoli do przytomności.

Wczorajszy bridge, sąsiadka z przeciwka, batalion butelek i pocztowe papiery — wszystko gnało w szalonym pędzie, zachodziło jedno na drugie, przeskakiwało, przystawało, patrzyło, ironizowało i jątrzyło.

Tak, właśnie jątrzyło. Bo na bridge'a go już nie poproszą. Pan doktor, choć mienił się być humanistą (a to wyklucza filantropię), wczoraj już okazał, że to była fatalna pomyłka, iż jakiś Paweł — golec mógł bawić się w jego gronie. Nie umiesz płacić z honorem pięć złotych za punkt — nie pchaj nosa między takich ludzi.

A ten bon ton. Z bliska mógł ujrzeć szafirowe oczy pani Julitty i słuchać uczonego wykładu o Prouście. Co prawda to i niewiele więcej się dowiedział o nim. To, że był pederastą zasłyszał już od p. Chęćka, a to że jakaś Strona Guermantes „działa" na panią Julittę, to nieważne. Wolałby sam działać...

Kot wychłeptał kwaśne mleko. Zgaga wzmagała się. Godziny mijały; robił się dzień. Zgrzytnęły żaluzje sąsiedniej apteki.

— Aptekarz nie piekarz — uparcie powtarzał idiotyczne zdanie. — A gdyby tak piekarz? Nie, nie piekarz. A może jednak piekarz? Aptekarz...

Szlag trafił aptekarza. Trzeba wstać. Bułka jak z gumy, o pół zmniejszona porcja masła (te cholery z baru też muszą z czegoś żyć — zreflektował się zaraz politycznie) i cały dzień:

— Panie, czegóż pan się tak guzdrasz? Nie widzisz pan, ludzie tu stoją...

—Schlała się świnia i nie może nawet kwitka wypisać porządnie...

— Taki czas zapaskudzony, bele kto do biura...

A później będzie wieczór. Spacer z Wirginią, co nie zna Prousta. No nic, dowie się przynajmniej, która z tych dwóch dziwek spała z tym nowym nauczycielem.

Wpuścił nogi w pantofle. Zapiekło zimno. Kopnął ze złością kota.

Zrobił się dzień. Dzień — to jest wielkie realium.

* * *

Profesor Mokrzycki gładził brodę. Drażniła go sprawa wczorajszej lektury. Rozgryzał problem myślenia. Cogito, ergo sum. Czy aby dlatego jestem, że myślę? A gdybym tak był dlatego, że jem, że oddycham, że śpię? Myślę. — A co ja właściwie myślę — zdenerwował się raptownie. Ja tylko obmyślam; obmyślam tępe zadania dla tych kóz.

Spojrzał pogardliwie na simony, końskie ogony i rusałki swoich szesnastolatek.

— Czy one myślą? A są przecież. I to jeszcze jak „są". Wrzeszczą, bumelują, gżą się...

Zreflektował się. Nie, tak nie można o nich. Przecież to mają być ludzie. Pełnowartościowi.

— Zaklicka nie wierć się — huknął gromko.

Zaklicka drgnęła, spojrzała przepraszająco. Za chwilę przysunęła się do Hanki:

— Czemu nie piszesz?

— Wiesz, ja... ja już nie byłam „chora" dwa miesiące. Rany boskie, co robić?

— Powinnaś się cieszyć. Nie ma nigdzie waty — mruknęła tamta.

— Nie bądź cynikiem. Co prawda Jurek mówił, że to niemożliwie, ...ale...

Głośnik uparcie ryczał o „Praterze, Grinzingu i winie".

Profesor obliczał jak dociągnąć do pierwszego za 200 zł. Martwił się. Nagle przyszło olśnienie. Cogito, ergo sum. Przecież ja myślę. Myślę jak żyć, żeby istnieć.

* * *

Słońce ześlizgiwało się z nieba. Szczyty okien przypominały szkła kieliszków, napełnionych krwawym winem. Krótka chwila — szyby zmatowiały pociemniały. Widziałam gdzieś reprodukcję obrazu młodego plastyka, zatytułowanego: „Małe miasteczka nie są nudne". Zapamiętałam wielki autobus na pierwszym planie. „Moje" Miasteczko, z racji niewielkiej funkcji w organizmie krajowym nie dorosło epoki auto-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

na salę towarzysz dyrektor, odświętnie ubrany. Wita się z robotnikami, którzy schylają głowy z szacunkiem. Towarzysz dyrektor prosi do polki — naszego tańca, towarzyszkę — pierwszego sekretarza POP. Za nimi szeregiem ustawia się górnicza brać (która nie wie co począć ze spracowanymi rękami)... Ple, ple, ple...

Do łóżka Mniszkówna i wyższe sfery. Ordynat Michorowski ma twarz Jurka.

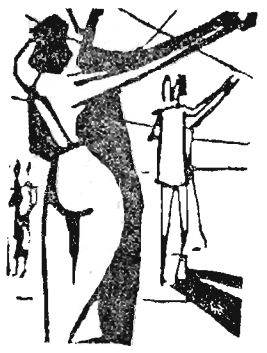

KARNAWAŁ 1951. Matura. Matka już nie oponuje. Planowany wyjazd na dancing do innego miasta dochodzi do skutku.

W pociągu tłok — ludzie jadą się bawić. Ostrzegawczy szept przyjaciółki: Uważaj! Oczy! — Delikatny ruch ku sterczącym sztywno od tuszu rzęsom.

Z dekoltu sukni wyłazi cokolwiek przybrudzone ramiączko — nie zraża wielbiciela, który korzystając ze ścisku głębiej szuka nowych podniet. Głupią sytuację zagłusza nerwowy śmiech mieszczki, niebacznie stawiającej nogę na granicy dwóch światów, gdzie się rozmawia o Bergsonie i krytykuje socjalistyczną rzeczywistość z pozycji siedemnastolatki.

Szczytowa faza to wódka. „Taka noc bywa tylko raz" i pijane stoły, stoliki, krzesła...

Nad drzwiami tancbudy króluje napis „Bez wódki bawimy się lepiej i kulturalniej".

KARNAWAŁ 1952.

To było bardzo dawno i nieprawda. Tam był już przyszły mąż w mokasynach, angielskim kołnierzyku i z fotografią pięknej pani w portfelu. Po paru godzinach, piękną panią przydeptało kilkaset par butów i pantofelków; kto wie, może nawet i moje.

„Halo, dziewczyno ma". Już było skierowane pod nowym adresem. Rumba kazała zapomnieć o stypendium i piętrowym łóżku w Domu Akademickim.

A nad ranem były baloniki, śnieg, miłość i fantazja. Wiele fantazji i mirażów na przyszłość.

Gdyby widziały Chimery, chciałoby im się śmiać.

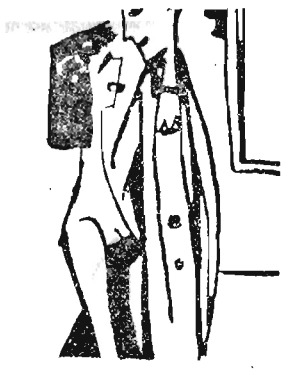

Następne karnawały 53, 54, 55, 56, 57 pozostawiam bez komentarzy. Była suknia, nie było butów, był krawat, siedzenie wyłaziło ze spodni. Finanse, mezalianse (oczywiście tylko delikatne rozmowy w rodzaju. Żebym była wiedziała, co mnie czeka...) i...

Co? Interesuje Was ostatni karnawał? Zsumujcie wszystkie i wypośrodkujcie — a wtedy otrzymacie coś nowego, co nazywam dniem dzisiejszym. Nie chcecie? Powiadacie, że ja lepiej to zrobię, bo czuję? A więc zaczynam...

KARNAWAŁ 1957.

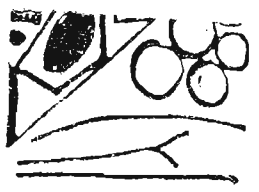

„Picassowskie" kompozycje na ścianach. Baloniki wypożyczone z LOT. Serpentyny. Confetti. Bufet „solidnie zaopatrzony", przygrywa do tańca orkiestra...

Mąż jeszcze bez brzuszka (ja też) i grono mężatek, niemężatek i innych.

— Panowie, pijemy zdrowie pięknych pań po raz pierwszy. No, to cyk (ciche chłeptanie, przy którym czynię ciekawe spostrzeżenia, iż ten co dał najmniej forsy najciszej chlepce swoją porcję aqua vitae).

— Zatańczysz? Chyba nie, odpocznij sobie lepiej kochanie, bo małego brzuszek boli i trzeba będzie go pilnować przez resztę nocy.

To było powiedziane tak kategorycznie, że lepiej faktycznie nie tańczyć. Ale co robić? Obliczać wiek sąsiadek? Są jeszcze w tym wieku, że to zupełnie nieciekawe.

— Nie wygłupiaj się, pamiętaj, że to trzy dni przed pierwszym. Nie szastaj się. Widzisz go lord. A ja będę głowę łamała, co jutro gotować...

Do jasnej cholery, czy ja jestem na balu, czy w domu wariatów?

— Mężu, ty mnie już nie kochasz?

— Odczep się.

Karnawał. Gołe ramiona (w małym mieście nie radzę, bo obnoszą na jęzorach), biel koszul i czerń ubrań. Rytmiczny huk perkusji. Co roku ten sam i co roku inny... Okazja do szaleństw i zdrad. Okazja do miłości. Okazja do kłótni. Nic na to nie poradzisz.

Szalej, zdradzaj, kochaj i nie kłóć się. Czy nie lepiej spokojnie, a nawet z odrobiną uczucia odpowiedzieć „kocham Cię", a dopiero w domu wytłumaczyć nieco logiczniej — „jesteś stara wariatka w balzakowskim wieku"?

Taka bowiem jest kolej rzeczy i nawet karnawał tu nic nie pomoże.

ŚWIERSZCZ

Z DZIEJÓW TEATRU w Rzeszowie

Zamiast wstępu

Przeszłość teatralna Rzeszowa sięgająca czasów, od których dzieli nas całe lub prawie całe stulecie, nie należy do rozdziałów dokładnie zbadanych przez historyków sceny polskiej. Nie jest ona także bliżej znana ludziom teatru. Dla ilustracji można by przypomnieć, że kiedy przed dwoma laty tegoroczny laureat nagrody teatralnej imienia Lena Schillera — Kazimierz Dejmek ogłosił w „Teatrze" „O Rzeszowie wspomnienia nie bardzo uroczyste", napisał tam po prostu:

„Nie znam teatralnej historii Rzeszowa, do którego przywędrowałem zresztą na dwa lata przed wojną. W tym czasie amatorski ruch teatralny był tu raczej słaby. W przeciwieństwie do pobliskiego Przemyśla, w którym działał zespół o wieloletnich tradycjach — „Fredreum". Obiło mi się o uszy, że w wędrówkach swoich zawadzali o Rzeszów Żelazowski, Siemaszkowa, Adwentowicz. O ile się nie mylę — docierał tu od czasu do czasu teatr Pokucko-Podolski, bo „Śluby panieńskie" tego teatru w 1938 roku oglądałem w sali „Sokoła". W każdym razie sprawy teatralne Rzeszowa przedstawiały się opłakanie...". I dalej: „Nikt teatru na razie nie potrzebował i ani myślał, że Rzeszów teatr mieć może".

Tyle Dejmek. Dodajmy, że dzisiejszy dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Nowego w Łodzi, znany ze śmiałych, prawdziwie twórczych inscenizacji „Łaźni" i „Święta Winkelrieda", stawiał w roku 1944 pierwsze kroki na rzeszowskiej scenie jako Jasiek w „W selu", a raczej w widowisku, jakie z fragmentów utworu Wyspiańskiego skomponował wówczas Kazimierz Konarski, aktor teatrów poznańskich. Wracając pamięcią do swojej młodości, Dejmek wydał o sytuacji teatralnej Rzeszowa sąd równie lakoniczny, co surowy.

Nie nasza rzecz jest podejmować z tą oceną dyskusję. Niewątpliwie mógł to być okres upadku życia kulturalnego w Rzeszowie, który w nieco wcześniejszych latach międzywojennych chlubił się wysokim poziomem swojej sceny amatorskiej — „Reduty" kierowanej przez dr Ruczkę. Przytoczyliśmy wypowiedź Dejmka nie tyle dla podjęcia z nią dyskusji, ale po to, ażeby uzasadnić istotną potrzebę wydobycia z zapomnienia tradycji teatralnych Rzeszowa.

Teatralne miasto

Tradycje te są wcale bogate. Trzeba tylko sumiennie przewertować dawne czasopisma, wyszukać w bibliotekach i archiwach zżółkłe afisze, zrekonstruować z pamiętnikarskich napomknień i staroświeckich anegdot obraz działalności teatralnej, jaką prowadziły przed stu laty w Rzeszowie najrozmaitsze towarzystwa objazdowe. Wtedy okaże się, że nasze miasto liczące w połowie ubiegłego stulecia około 10 tysięcy mieszkańców, miało wśród ówczesnych dyrektorów, czyli jak się jeszcze w tych czasach mawiało — „antreprenerów" renomę „miasta teatralnego". Dla obiektywizmu trzeba wyjaśnić, że podobną sławą cieszyły się obok Rzeszowa jeszcze takie miasta jak Nowy Sącz, Tarnów, Przemyśl i Jarosław.

Na czym jednak właściwie polegała „teatralność" Rzeszowa? Warto tę sprawę wyjaśnić nieco dokładniej. Zagadnienie jest zresztą skomplikowane: Teatralnym zwykło się nazywać takie miasto, którego mieszkańcy okazywali żywe zainteresowanie sztuką teatralną, chętnie i często teatr odwiedzali wypełniając widownię tłumem ruchliwym, reagującym ze zrozumieniem i odczuciem nie tylko na treść wystawianych sztuk, ale także na wszelkie odcienie gry aktorskiej. Teatralna miejscowość — to inaczej miejscowość zdolna wytworzyć pewien klimat teatralny miejsca stałego zamieszkania kulturalnych, a zarazem entuzjastycznych widzów.

Określenie „miasto teatralne" zrodziło się w środowisku aktorskim związanym ze scenami objazdowymi i wędrownymi. Możliwe, że przesadzywano je sobie w charakterze obiegowej informacji. Ale obok trzeźwej oceny materialnej powinniśmy dopatrzeć się tu uczucia pewnej serdeczności, jakim mógł obdarzać ówczesny człowiek teatru szczerze oddaną sobie publiczność. Zapamiętajmy więc, że przed stu laty Rzeszów był jednym z ośrodków prawdziwie teatralnych i to będzie pierwsza chyba rewelacja dla wszystkich, którzy dotychczas podzielali pogląd wyrażony przez Kazimierza Dejmka.

Pierwsza wzmianka

Dokładniejsze zbadanie dziejów teatralnych Rzeszowa dostarcza licznych dowodów, że „w wędrówkach swoich zawadzali o Rzeszów" nie tylko Żelazowski, Siemaszkowa i Adwentowicz. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że właśnie w Rzeszowie odniosła wielkie sukcesy w początkach swej wspaniałej kariery scenicznej najznakomitsza aktorka, jaka zna historia naszego teatru — Helena Modrzejewska. O pobycie Modrzejewskiej w Rzeszowie z teatrem Konstantego Łobojki w 1861 roku mamy aż trzy różne, a bardzo interesujące relacje pamiętnikarskie: pierwsza z nich — to spisane znacznie później „Wspomnienia i wrażenia" genialnej artystki, druga jest fragment z pamiętnika Łobojki, szczęśliwie zachowany w papierach pośmiertnych Heleny Modrzejewskiej, trzecia wreszcie stanowi wspomnienie Edwarda Webersfelda, aktora, który gościnne występy Modrzejewskiej w sali hotelu „Luftmaszyna" oglądał jako uczeń rzeszowskiego gimnazjum. Odnotowujemy to wszystko z niemałą radością, a także z przekonaniem, że warto rzeszowskim występom Modrzejewskiej poświęcić osobne omówienie.

Występowały także w Rzeszowie tak wybitne aktorki, jak Antonina Hoffman i Aleksandra Ładnowska-Rakiewiczowa, których późniejsze osiągnięcia związały się trwale z dziejami teatru krakowskiego czy warszawskich „Rozmaitości". Bywało zresztą w Rzeszowie na gościnnych występach wielu innych artystów scen krakowskich i lwowskich, dosyć często zaglądały tu najrozmaitsze sceny objazdowe, ale co ważniejsze — zdarzyło się kilka razy, że w sezonie „ogórkowym" zjeżdżał do Rzeszowa w pełnym składzie teatr krakowski. Powód był oczywisty: starano się wykorzystać znane upodobania teatralne rzeszowian dla podreperowania niezbyt szczęśliwie prosperującej w Krakowie kasy.

Pierwszą wzmiankę o takim podyktowanym przez kłopoty materialne gościnnym występie aktorów krakowskich w Rzeszowie spotykamy już w roku 1848. Teatr krakowski kierowany przez Juliana Pfeiffra znalazł się w tak trudnej sytuacji, że aktorzy — jak informuje w nieocenionych „Teatrach w Polsce" (t. II) Karol Estreicher — **„musieli pomyśleć o wydaleniu się z Krakowa do Rzeszowa, Tarnowa itd., ale nie było czym wyjechać. Nędza tak im dokuczyła, iż wylitografowali listy proszące o branie biletów na dwa ostatnie widowiska „Okrężne na Litwie" i „Kocia muzyka", ażeby tym sposobem uratować się od ostatniego ubóstwa. Listy te po rozsyłane skutkowały i dwa widowiska przyniosły obfite żniwo. Zebrał Pfeiffer z widowiska do 1.300 złotych polskich przychodu na koszta podróży i zaraz nazajutrz w niedzielę wyjechali artyści brykami..."**

Dyrektor Pfeiffer musiał w pełni doceniać teatralność małego Rzeszowa, skoro z krakowskim teatrem odwiedzał to miasto jeszcze dwukrotnie, a mianowicie w roku 1853 i 1861. Pobyt zespołów Pfeiffra w Rzeszowie trwał na ogół krótko. Ale znamy również takie teatry, które na scenie „Luftmaszyny" występowały przez trzy, a nawet cztery miesiące z rzędu. Właściwie powinno się je traktować jako placówki stałe, gdyż swoimi przedstawieniami wypełniały w Rzeszowie cały ówczesny sezon teatralny — od zimy do wiosny. Przykładem służyć może choćby „Teatr Polski w Rzeszowie" Antoniego Gubarzewskiego, który wypełnił sezon 1858/1859. Ale o tym — następnym razem.

JERZY PLEŚNIAROWICZ

Dyskusje—polemiki ● Dyskusje—polemiki ● Dyskusje—polemiki

„O BIBLIOTECE NA DZIESIĄTEJ ULICY..."

„Gra warta świeczki" — w dodatku to mój „konik" — więc trzeba dorzucić swoje trzy grosze do dyskusji o bibliotece naukowej. Wprawdzie wiele toczy się dyskusji na temat różnych problemów, które rozchodzą się gdzieś po kościach, ale — nuż co z tej wyjdzie?

Problem założenia biblioteki naukowej w Rzeszowie nurtował od dawna, był omawiany w kręgu nielicznych osób — szersze odbicie znalazł on w klubie inteligencji, zdaje się w grudniu ubiegłego roku, gdzie między innymi nieśmiało wspomniałem o potrzebie utworzenia biblioteki naukowej, proponując na razie intensywniejsze niż dotychczas rozbudowania działu bibliograficznego w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej, rozszerzenie księgozbioru podstawowego oraz powstanie katalogu centralnego, co stanowiłoby zalążek przyszłej biblioteki o charakterze naukowym. Jednakże ta niesłychanie ważna sprawa wciąż jeszcze zamykała się w ciasnym gronie, dopiero felieton p. Boska ujawnił ją opinii publicznej i zaczęła ona nabierać właściwych rozmiarów, wywołując dyskusję.

O co idzie? — wydaje mi się, że kilka spraw nie ulega wątpliwości. Pierwsza — biblioteka naukowa winna powstać w Rzeszowie, o ile możności jak najszybciej; druga — komu ma służyć. — Twierdzę, nie zamkniętemu gronu, lecz tym wszystkim, którzy chcą z niej korzystać; trzecia — w jaki sposób i gdzie ją stworzyć. — Nie ze szkodą dla jakiejkolwiek innej biblioteki specjalistycznej już istniejącej w Rzeszowie, lecz wysiłkiem całego społeczeństwa rzeszowskiego.

A teraz niektóre szczegóły do tych punktów. Przyznając słuszność twierdzeniu doc. Kotuli o konieczności własnego warsztatu przy swojej placówce, muszę stwierdzić, że nie można jednak zapominać o wielu ludziach wolentariuszach — zajmujących się sprawami naukowymi w szerszym czy węższym zakresie. Mam tu na myśli nie tylko inteligencję twórczą, ale słuchaczy studiów zaocznych, studentów Studium Nauczycielskiego, magistrantów piszących swe prace, nauczycieli i innych pracowników o zainteresowaniach naukowych, wreszcie ludzi, nie przynależnych do żadnego klanu naukowego czy uczelnianego lecz mających te czy inne zamiłowania naukowe lub popularno-naukowe. A więc ludzi tych jest sporo. Wiadomo bowiem, że w każdym powiecie znajdziemy gromadkę ludzi o tych czy innych zainteresowaniach. Często ci ludzie nie mają możliwości kontynuowania i rozszerzania swoich zamiłowań naukowych. Konkretny przykład: dr K. Skowroński z Kolbuszowej (obecny poseł) od długich lat pracuje naukowo bez żadnej pomocy, zapomniany i pomijany przez „ośrodek naukowy" w Rzeszowie. A czy jest to przykład odosobniony? — Na pewno nie. Wszyscy ci ludzie winni jak najszybciej otrzymać pomoc i kto wie czy z tej gromady nie znajdzie się więcej niż 6 pracowników naukowych. Więc dla nich również winna powstać biblioteka naukowa.

W jaki sposób? — Różnymi sposobami.

a) Powołać zespół ludzi przy Wojewódzkiej Komisji Kultury i Wydziale Kultury, który by opracował konkretne sposoby utworzenia działu naukowego w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej, lub wspólnego księgozbioru bez uszczerbku dla istniejących bibliotek czy też nawet założenia jednolitej biblioteki, jeśli ku temu będą istnieć warunki kadrowe, finansowe, lokalowe. Sądzę, że właśnie zespół ten składający się z fachowców winien dojść do konkretnych wniosków.

b) Poczynić starania o uzyskanie dubletów, darów, zapisów, depozytów wymiany z innymi bibliotekami naukowymi w całym kraju czy nawet zagranicą.

c) Zebrać niszczejące książki, starodruki w całym województwie i gromadzić je w Bibliotece Wojewódzkiej. Znane są przykłady, że wiele cennych pozycji niedobitki ze zbiorów dworskich, TSL, stowarzyszeń, marnieje po strychach, piwnicach, bibliotekach licealnych, szkolnych itd. (przykład: Tarnobrzeg, Jarosław, Kolbuszowa).

d) Ogłosić w „Nowinach Tygodnia" apel prasowy, do prywatnych osób o składanie darów w formie książek, księgozbiorów, czasopism na rzecz biblioteki naukowej. „Łańcuszek" społeczny otwieram ofiarując roczniki czasopism sprzed roku 1939 oraz 2 starodruki z 1600 r. i inne książki. Mam nadzieję, że znajdzie się wielu ludzi, którzy posiadają prywatne zbiory i którzy (wbrew sugestiom doc. Kotuli) zechcą coś ofiarować dla tworzącej się biblioteki. Wielu naszych „krajanów" pracuje naukowo — przykład: prof. dr Stanisław Pigoń — i na pewno wezmą udział w tworzeniu się tej biblioteki.

e) Z funduszów Wydziału Kultury, Wojewódzkiej Biblioteki przeznaczyć część na zakup księgozbioru naukowego, pozycji podstawowych.

Jeszcze nasuwa się myśl, jaki charakter miałaby posiadać przyszła biblioteka ogólna, czy specjalistyczny. Sądzę, że jak dotychczas istnieje możliwość utworzenia księgozbioru z zakresu nauk społecznych (humanistycznych). Jednakże nie można rezygnować z innych działów i w miarę możliwości należy tworzyć bibliotekę ogólną, z której kiedyś mogą się wyodrębnić biblioteki specjalne.

Wreszcie ośmielam się proponować utworzenie Towarzystwa Rzeszowskiej Biblioteki Naukowej, które skupiałoby ludzi oddanych sprawie nauki i wiedzy. Towarzystwa takie istnieją w wielu miastach, jak np. w Warszawie i mają wspaniałe sukcesy. Wydaje mi się, że „konik" mój jak mówią Francuzi, — poniósł mnie daleko, aby na pożytek, a nie na złamanie karku.

TADEUSZ MIŚ.

WIOSNA, JESIEŃ i MIŁOŚĆ

Mam wrażenie, że scenarzysta powiedział sobie „jak jest Fernandel, to nie musi być nic innego", i wtedy dopiero przystąpił do zbożnego dzieła twórczego, które się przekształciło w scenariusz do filmu „Wiosna, jesień i miłość".

I dlatego chyba nie ma w filmie ani wiosny, ani jesieni (oczywiście tych w przenośni), ani miłości; a jest za to Fernandel — śmieszny, stary niezgrabiasz, który zwycięsko wychodzi nawet z najbardziej kompromitującej sytuacji. Odnosiłam wrażenie, że zrobiono wielki wysiłek reżyserski (Gilles Grangier) w niepotrzebnym kierunku: „nie ośmieszajmy (!) Fernandela". Potem to już robią co mogą, by Fernandel wypadł jak najkorzystniej. Jest więc najpierw maleńkie pro, że Fernandel jest starą fajtłapą, a zaraz za tym idzie wielka contra, że to człowiek godny miłości nawet takiego anioła, jakim jest „mała" Nicole Berger, nawiasem mówiąc urocze stworzenie.

Intryżki, ploteczki, atmosfera małego miasteczka, w którym produkuje się tylko nugaty, pieniężne sprawy i sprawki, sercowe komplikacje to wszystko podlane sosikiem wielkiej miłości i, co tu dużo gadać, małego świństwa „małej" Cecylki można strawić, uśmiechnąć się i pójść do domu.

Pozostaje tylko przykre uczucie, że marnuje się doskonałego komika w tego rodzaju komediach, o których nawet nie można powiedzieć, że są złe, ale że są nijakie. Brak tu zupełnie tego, co cechuje dowcip francuski — finezji, subtelnej ironii i temperamentu.

Film nuży. I to nuży w scenach z Fernandelem. Rozumiem, że trzeba go pokazać jak kroczy środkiem ulicy i wymachuje rękami, mamrocząc coś pod nosem, a nawet prowadząc normalnie głośny monolog. Jeżeli to zobaczę raz i krótko, powiem — Fernandel jest kapitalny, natomiast za drugim, czy trzecim razem będę zmuszona wypowiedzieć straszne dla aktora zdanie — Fernandel jest jednakowy.

W ogóle jakoś tak dziwnie przeczuwam, że chyba już nie zobaczę czegoś nowego, jakiejś nowej interpretacji uczucia u niego. Zanadto wyeksploatował swój talent wielkiego mima, zanadto go obnażył. Stąd są momenty, kiedy jest żenująco nieciekawy, żenująco ten sam.

Chciałabym móc zwalić winę na reżysera, z którego założenia wynikało pokazanie Fernandela ze wszystkich stron i za wszelką cenę. A więc jest Fernandel — niezdara, Fernandel złośliwie dobroduszny, dowcipny, smutny, przerażony, zrozpaczony i zakochany. Ten ostatni to chyba nowość dla widza i to nowość dość ciekawa, bo czeka się z niecierpliwością na moment wyznania afektu i trzeba przyznać, że była to scena doskonała a może nawet i najlepsza, tak dialogowo jak i aktorsko. Brednie o drzewie, które straciło kilka liści, drzewie silnym, dającym oparcie, poparte wiernym, psim spojrzeniem i rozprostowaniem potężnych ramion, komiczne zakłopotanie 50-latka, któremu obca była miłość do tej pory, jak zwykle potok nieskładnych słów, przy których idą w ruch ręce — to scena nie do pogardzenia przez wielkiego komika. Psuje ją jednakże sama fabuła, która czyni go szczęśliwym narzeczonym.

Wolałabym przecież zobaczyć Fernandela nieszczęśliwego, smutnego. Wtedy jest mniej hałaśliwy i pewny siebie, a prawem kontrastu można by zobaczyć skalę jego możliwości.

Fernandel nieszczęśliwy, to jest wielkie olśnienie. Tu „wychodzi" subtelność, jakiś takt aktorski oraz oszczędność gestu i mimiki. Bowiem bardziej przekonywający będzie jeden tragiczny ruch brwi niż cała gama uczuć, wyrażająca się w oczach, ustach i szerokich zmarszczkach na czole. Grając niepospolitą ruchliwością twarzy i rąk dojdzie się przecież kiedyś do momentu powtórzenia tego samego gestu, tej samej mimiki. A na to nie może sobie pozwolić aktor tej miary co Fernandel.

Że do takich momentów doszło nieraz o to można mieć pretensje do scenarzysty i do reżysera. Wielka sympatia dla niezaradnego wielkoluda nie pozwala mi powiedzieć, że był tu winien i on sam. Zresztą, jak mówi znane francuskie powiedzenie: chacun son gout, czyli innymi słowy, możecie się ze mną nie zgadzać.

K. Ś.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ob. LB. Rzeszów. Pomysł ulokowania wystaw plastycznych niebanalny, jednak realizacja jego byłaby trudna ze względu choćby na wysokie koszty, które trzeba by ponieść przy przebudowie wejść do poszczególnych pokoików. Poza tym są one „nieco" za małe jak na miejsca ekspozycji większych prac.

Stanisław Z. Dębica. Artykuł na poruszany przez Pana temat zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Nowin Tygodnia".

Tadeusz S. Tarnobrzeg. Trudno wyrokować o czymś, czego się nie zna. Prosimy przysłać coś tytułem próby.

Stefan Wadys — Sanok, Kazimierz Ryt. — Mielec, Ryszarda B. — Przemyśl, Wiesław K. — Rzeszów, F. L. — Kolbuszowa, J. F. — Krosno. Nie skorzystamy.

„Czytelniczka", Bolesław K. Ropczyce. Prosimy o podanie adresów, odpowiemy listownie.

Cogito-ergo sum?

(CIĄG DALSZY ZE STR. 2)

busów. Miało dorożki. Bez lampionów, nie zaczarowane.

Ciekawam czy w dorożkach jeżdżą jeszcze Mesdames Bovary? Czy w aptece raczą się zdradzone kochanki arszenikiem, którego porcja zdolna wytruć armię szczurów. Czy stary ksiądz ma młodą gospodynię? Czy nad rzeką są bulwary, na których domorośli artyści wystawialiby pejzaże sentymentalne, z samczykiem — jeleniem na pierwszym planie? Czy ludzie tu umierają i czy rodzą się?

* * *

W aptece ucichło. Pan magister zajął się receptami.

— Ten młody smarkacz przepisuje ludziom leki, do których nigdy nie można mieć zaufania.

Stary magister wierzył tylko w zioła. Miał obsesję na punkcie ziół. W przypływie zapału pro-ziołowego zwykł był mawiać: „bo te zioła widzisz asan, nawet umarłego na nogi postawią".

Dzwonek u drzwi jęknął. Zachybotał płomyk lampki przed Matką Boską.

— Panie, żona ... — blada twarz, rozpięty, niemodny kołnierzyk u koszuli.

— Panie, żona... Umiera... Arszenik. Trzeba odtrutki... Tamten smarkacz.. Panie magistrze, ratuj.

Stary magister przymknął oczy. Więc jeszcze raz to przeżywa. Wtedy, przed wojną (nie westchnął tym razem: były czasy) też to tak wyglądało. Żona, arszenik, kochanek — smarkacz, młody lekarz. Też trzeba było odtrutki. Oczy osnuła mgła. Ni z tego, ni z owego wymamrotał:

— Też chciała truć szczury.

Nie wiadomo, czy to było pytanie, czy potakująca odpowiedź na echa przeszłości..

* * *

Noc ślizgała się po dachach. Nuda osnuwała serce. Marię obejmowały ramiona Piotra.

Nie chce mi się kończyć tego. Nuda się udziela. Zabija życie. Zabija myśli. Człowiek tępieje.

* * *

Słyszę rozmowy.

— Czyś była w tym miasteczku?

— Nie — odpowiadam sennie.

— To bezczelność z twej strony. Tych miast już nie ma.

— Nie ma?

Po chwili.

— Czy to ma być kołtuneria?

— Nie, to tylko ludzkie sprawy...

— A kołtuneria to nie jest „ludzka sprawa"?

— Hm...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

NIE TRUDNO ZGADNAĆ — NIE TRUDNO ZGADNAĆ —

KOMBINATKA (6 pkt)

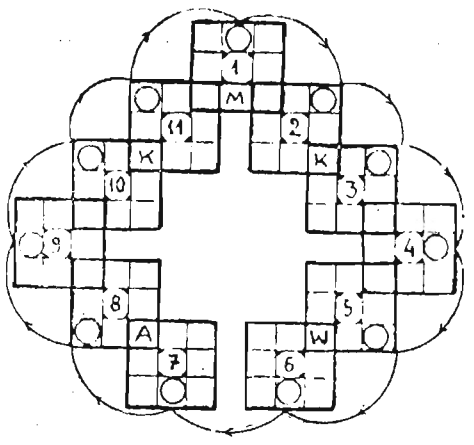

Gdy się zagadkę chce ułożyć składną,
To w swój DZIESIĄTY trzeba załadować
Trochę pomysłów, wiedzy i dowcipu
I już roboty będzie to połowa.

Potem w krainę trzeba ruszyć ciszy,
Gdzie by się skupić można bez przeszkody
I zacząć tworzyć jak poważny autor,
Nie zaś jak PIERWSZY jakiś bardzo młody.

Czy JEDENASTA ma to być, czy rebus
— Trzeba pomyśleć — czy szyfrogram CZWARTY,
Czy też typ inny z zagadek TRZECIEGO,
Czy może jaki figiel albo żarty.

Są też zagadki, gdzie czytelnik tekstem
DRUGI, nie może znaleźć rozwiązania,
Choć zwykle jest to PIĄTE z niewiadomą,
Jakie przerabia w szkole Jaś lub Hania.

A przy tym wszystkim trzeba dobrze zważać,
Aby zagadki proste zbyt nie były,
W jakich DZIEWIĄTY już nasz, albo dziadek,
Sprytu swoje wybróbował siły..

Jak SIÓDMY z cyrku musi autor teraz
Zręcznie żonglować liczbami, słowami,
Musi uważny bardzo być i SZÓSTY,
Bowiem przytomność to autora znamię.

A jednak ÓSIEM chce się czasem łzami,
Gdy do krzyżówki nagle brak wyrazu
— Zwłaszcza, gdy cała prawie jest gotowa —
Choć tak nam łatwo wszystko poszło zrazu.

Z tekstu wierszyka, w rodzaju szarady, odgadnąć 11 ośmioliterowych wyrazów i wpisać je w odpowiednich kwadratach dookoła liczb, poczynając od górnego lewego rogu w każdym. Następnie przeskakując dookoła rysunku, co pewną ilość pól oznaczonych kółkami odczytać jednowyrazowe rozwiązanie. Każdej liczbie w tekście wierszyka odpowiada cały wyraz (nie sylaby jak w szaradzie).

Dla ułatwienia podano na rysunku 5 liter.

Za rozwiązanie kombinatki przysłane do 14 dni pod adresem: Oddział „Nowin Rzeszowskich" — Przemyśl, Gmach MRN z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe", przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE I NAGRODY z nr 3/347

Pentagram: tarka, katar, karta, karat, krata

Kwadrat arcymagiczny: bard, ajer, reja, drab.

Nagrody wylosowali: I. Maria Szajna — Kombornia, II. Władysław Krzemieniecki — Rzeszów, III. Maria Potocka — Sanok.

Nagrodę autorską otrzymuje (za kwadrat arcymagiczny) Stanisław Żelazko z Chorzelowa.

UWAGA!

Przypominamy wezwanie do szaradzistów (z poprzedniego numeru) w sprawie podawania przy rozwiązaniach tytułów lub rodzaju książek, jakie by chcieli otrzymać w razie wylosowania nagrody.